

J A C E K
K R A K O W S K I

PRZERWANE
ŚLEDZTWO

 SAGA
EGMONT



J A C E K
K R A K O W S K I

PRZERWANE
ŚLEDZTWO

 SAGA
EGMONT

Jacek Krakowski

Przerwane śledztwo

Saga

Przerwane śledztwo

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2012, 2021 Jacek Krakowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726823264

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

1.

- Rudolfie, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Żebyś odnalazł mordercę mojego ojca.

Teraz, kiedy po dobrych czterdziestu latach Rudolf niespodziewanie przypomniał mi tamtą sprawę, prowincjonalna niedziela zawirowała nagle w słońcu, obrusy zaśniły bielą na stołach wystawionych do ogrodu, srebrne łyżki szczęknęły o talerze i zapach domowego rosółu rozszedł się w nagrzanym powietrzu wczesnego, sierpniowego popołudnia.

Tak rozpoczęła się jedna z najbardziej zagadkowych historii, w którą kiedyś, przed laty, mimowolnie zostałem wplątany. Miałem wtedy siedemnaście lat i niewiele mnie obchodziły problemy tych, jak mi się wydawało wtedy, stetryczalnych dorosłych, często mających już dobrze po czterdziestce. A jednak to dzięki nim wziąłem udział w uroczystości, która, początkowo jakże radosna, wkrótce przerodziła się w spór zakończony śmiercią jednego z jej uczestników.

- Owa sierpniowa niedziela była wyjątkowo upalna... Ogromne głowy różowych kwiatów georginii kładły się na płocie, pachniały floksy, wyciągając do słońca pokryte ostrym meszkiem patyki łądyg, a połyskliwe muchy... - zamarłem w zadumie nad zbiegłym czasem.

- Drogi wujku, przejdźmy wreszcie do konkretów - powiedziała kuzynka Laura, słuchając moich nadmiernie poetyckich wynurzeń. - Jeżeli mam się zająć tą sprawą, proszę cię: rzeczowo i po kolei.

Laura Sawicka, przystojna blondynka o fiołkowych oczach i absolwentka Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie, przywoływała mnie do porządku, a ja, chcąc nie chcąc, musiałem przystać na jej warunki.

- Wszystko zaczęło się od tego, że po wielu latach nieobecności ojciec Rudolfa niespodziewanie pojawił się w Skamielinie. Rodzina i znajomi byli przekonani, że zginął na wojnie. Poszukiwania prowadzone przez Czerwony Krzyż nie dały żadnych rezultatów, a on niespodziewanie wrócił do Skamielina w sierpniu 1967 roku. Usiadł w ogródku na ławce, zapalił papierosa i znowu był w swoim domu.

- Widziałeś go wtedy? - spytała rzeczowo moja kuzynka.

- Tak. Nasze ogrody dzielił tylko płot z rzadkimi sztachetami. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze w lecie przyjeżdżaliśmy do babci tramwajem z Łodzi do Skamielina. Dwaj starsi ode mnie koledzy, Rudolf i Leszek, już czekali za płotem, więc od razu wpadałem w wir chłopięcych sekretów, gonitw i podchodów. Znad pobliskich łąk niosła się cierpka woń świeżo skoszonej trawy, a my, płosząc mieniające się błękitem ważki...

- Wujku, przepraszam...

Chrząknięcia Laury przywróciły mnie współczesności.

- Z drugiej strony naszego domu mieszkała przepiękna Ilona. Właśnie o nią poszło owej fatalnej sierpniowej niedzieli.

- Jak zwykle *cherchez la femme* - westchnęła Laura.

- Rudolf przypomniał mi, jak to podczas obiadu wydanego na cześć jego ojca 12 sierpnia 1967 roku, doszło do sporu między ponad dwudziestoletnimi wtedy, podpitymi chłopakami. Muszę przyznać, że całą sprawę pamiętam jak przez mgłę. Byłem zbyt młody, by mieszać się w tego rodzaju awantury.

- Miałeś wtedy siedemnaście lat - zauważyła trafnie moja kuzynka.

- Spór dotyczył bowiem tego, kto pójdzie po południu z Iloną do kina: Rudolf czy Leszek. Do bijatyki dołączył się brat Ilony, Adam i nieźle podchmieleni już wtedy ojcowie, którzy chcieli rozdzielić walczących ze sobą synów.

Niespodziewanie padł strzał. Leszek osunął się z dziurą w płucu, a gdy przyjechało pogotowie i milicja, już nie żył.

- Co dalej? - spytała Laura, wytrącając mnie z zadumy.

- Ojciec Rudolfa, Stanisław Kornatowicz, ten, który na początku sierpnia wrócił z Niemiec Zachodnich, został aresztowany. Zdaje się, że w kieszeni jego kurtki znaleziono pistolet, z którego został zabity Leszek. Po dwu miesiącach pobytu w areszcie Stanisław nagle zmarł, a Rudolf nie wierzył, żeby popełnił samobójstwo. Jednak sprawę umorzono.

- Wujku - spytała Laura - dlaczego dopiero teraz Rudolf zgłosił się z tym do ciebie?

- Dlaczego?... - powtórzyłem z zastanowieniem. - Dobre pytanie. Podobno Rudolf zobaczył na wystawie moją książkę i skontaktował się z wydawcą, a poza tym... Porządkując papiery po zmarłej matce natknął się na listę gości uczestniczących w owym fatalnym obiedzie.

- Mamy już jakiś punkt zaczepienia - ucieszyła się Laura.
- Ciekawe jednak, kto z tych ludzi jeszcze żyje?

- To chyba udało się ustalić Rudolfowi. Niektórzy mieszkają nadal w Skamielinie, inni przenieśli się do Łodzi. Gdybyś zdecydowała się z nimi porozmawiać... Nie chciałbym jednak, żebyś marnowała sobie urlop...

- Wiesz co, zrobmy tak - rzekła po chwili namysłu. - Porozmawiam najpierw z tym Rudolfem i zorientuję się, czy w ogóle gra jest warta świeczki. Masz jego adres i telefon?

- Oczywiście - odparłem - ciekawy jestem, co z niego wyciągniesz, bo w rozmowie ze mną wydawał się dość skryty.

2.

Dwa dni potem Laura przybiegła do mnie przed południem, by zdać sprawę z odbytej rozmowy.

- Nie spodziewałem się, że znajomy autor przyśle do mnie tak młodą i atrakcyjną dziewczynę - usłyszałam na wstępie.

Pomyślałam, że na początku nie zaszkodzi odegrać roli słodkiej idiotki, więc uśmiechnęłam się powściągliwie i rzuciwszy zalotne spojrzenie, odparłam pełnym skrywanej namiętności głosem:

- Miło mi to słyszeć...

- Pani wujek polecił mi panią jako osobę wyjątkowo zdolną i sumienną. Czy pani ma zamiar zająć się sprawą śmierci mojego ojca?

Pan dyrektor Banku Gospodarczego, Rudolf Kornatowicz, siedział rozparty w skórzanym fotelu i patrzył na mnie zza szkieł eleganckich okularów w złotej oprawce, a jego wypolerowana łysina lśniła w dyskretnym świetle, padającym ze szklanego sufitu.

- Jeszcze nie - odparłam - dopiero gdy zbiorę dostateczną ilość danych i dojdę do wniosku, że...

- Coś się za tym kryje?

- Można to tak nazwać - odrzekłam, siadając na wskazanym przez niego, wyjątkowo niewygodnym, ale za to na pewno bardzo drogim i modnym krześle.

Zauważyłam, że stara się zachować tak zwaną kamienną twarz, przez którą, niestety, przebiegają jakieś mimowolne, niekontrolowane tiki, nadając jego obliczu, miast surowego dostojeństwa, wyraz raczej groteskowy.

- Przejdźmy zatem do rzeczy, panie dyrektorze -
powiedziałam, zdobywając się na profesjonalną powagę. -
Podobno ma pan listę gości z owej sierpniowej niedzieli,
kiedy to wydano obiad na cześć powrotu pańskiego ojca.

- Owszem - odparł, usiłując zapanować nad drganiem
lewego policzka. - Dysponuję także świadectwem zgonu,
stwierdzającym, że mój ojciec, Stanisław Kornatowicz zmarł
w areszcie w wyniku uduszenia na skutek zadzierzgnięcia
na szyi pętli skreślonej z prześcieradła.

Zamrugał gwałtownie oczami i dodał:

- Nigdy nie uwierzyłem w to, żeby mój ojciec mógł
popełnić samobójstwo. Był twardym człowiekiem, pełnym
energii i woli życia. Miał dopiero 48 lat.

- Pan Stanisław wrócił z ówczesnych Niemiec
Zachodnich, prawda? Dlaczego tak późno? - spytałam. - O
ile się orientuję, powroty z Niemieckiej Republiki
Federalnej i wyjazdy do niej z Polski rozpoczęły się na
dobre w 1957 roku. Jedna z moich ciotek emigrowała. A w
ogóle... jak i dlaczego pański ojciec tam się znalazł?
Zawierucha wojenna?...

- To dość skomplikowana sprawa.

Dyrektor Kornatowicz zajął się czyszczeniem okularów
miękką, irchową ściereczką, wpatrując się ciemnymi
oczami gdzieś daleko, w dawno zbiegłą przeszłość.

- Widzi pani... - odparł powoli, jakby cedząc jeszcze raz
upływ dawnego czasu - moja matka była Niemką, nazywała
się Eliza Vogel. W Skamielinie, gdzie Niemcy i Polacy
mieszkali ze sobą od lat, takie małżeństwa były na porządku
dziennym. Rodzice pobrali się tuż przed wojną. W połowie
1943 roku ojciec, aby ratować rodzinę przed szykanami i
wysiedleniem, poszedł na front wschodni... w mundurze
Wehrmachtu.

- I zaginął - powiedziałam po chwili ciszy.

Kornatowicz zacisnął mocno powieki, zagryzł wargi, podparł czoło dłonią i milczał.

Zdałam sobie nagle sprawę, że każda moja uwaga, choćby najbardziej taktowna, zniweczy z takim trudem nawiązany kontakt z tym człowiekiem.

- Urodziłem się na początku czterdziestego czwartego - rzekł wreszcie, zakładając okulary. - Potem moja matka uzyskała rehabilitację na drodze sądowej. Ale ojca nie było. Pojawił się dopiero na początku sierpnia 1967 roku. Widziałem się z nim niecałe dwa tygodnie...

- Nie powiedział panu, dlaczego tak późno wróciło do kraju?

- Stwierdził, że niesłusznie oskarżony siedział w więzieniu pod zmienionym nazwiskiem - odparł pan dyrektor po dłuższym namyśle. - Potem miał mi całą rzecz dokładnie wyjaśnić, ale... nie zdążył.

- Jasne - mruknęłam, przyglądając się liście nazwisk. - Czy pan wie, które z osób uczestniczących w tamtym obiedzie jeszcze żyją? Oczywiście, oprócz pana.

- Na pewno żyje matka zabitego Leszka, Brygida Brzeska. Ma dobrze ponad osiemdziesiąt lat - powiedział, unosząc w górę posiwiałe brwi. - Żyje także Ilona Mayer, ta, o którą doszło wtedy do bójki. Obie mieszkają pod tymi samymi adresami, jak w 1967 roku. Nie wiem, co się dzieje z bratem Ilony, ale to chyba ona pani najlepiej sama powie.

- Nie rozmawiał pan teraz z tymi paniami? - spytałam.

- Nie miałem czasu - odparł chłodno, a przez jego twarz przebiegła fala drobnych skurczów.

- Rozumiem pana...

- A poza tym - zawiesił na chwilę głos, wahając się zapewne, czy wtajemniczyć mnie w rodzinne sekrety - obie uważają, że ja w jakiś sposób przyczyniłem się do śmierci Leszka Brzeskiego. O ile sobie przypominam - dodał,

ściągnając usta - Ilona Mayer swego czasu kochała się w Leszku.

- A pan w niej? - spytałam wprost.

- Nie pamiętam - odrzekł, patrząc mi prosto w oczy z wyrazem niekontrolowanego osłupienia - ale to chyba teraz nie ma większego znaczenia.

Poprawił krawat, przycisnął dłoń do czoła i spytał:

- Podejmie się pani wyjaśnić, dlaczego zginął w więzieniu mój ojciec, Stanisław Kornatowicz?... I kto zastrzelił Leszka Brzeskiego?

Zastanawiałam się, dlaczego właśnie teraz zależy mi na tym, żeby wyjaśnić sprawę sprzed czterdziestu trzech lat.

- Jest pan przekonany - spytałam, starając się zachować pełną ostrożność - że to nie pański ojciec wtedy strzelił? Podobno pistolet znalazł się w jego kieszeni.

Rudolf Kornatowicz znieruchomiał, po czym nabierając głęboko powietrza, powiedział:

- A na nim zamazane odciski palców mojego ojca. To wykazało ówczesne śledztwo. Ktoś musiał mu podrzucić pistolet. W tej szamotaninie...

- Skąd tam się wzięła broń? - pytałam zdziwiona. - W tych czasach?

- Nie wiem - odparł, mrużąc oczy. - Zdaje się, że pistolet był produkcji amerykańskiej. Tym bardziej obciążało to mojego ojca.

- Rozumiem... Uważa pan - spytałam, wążąc każde słowo - że po tylu latach prawda rzeczywiście może wyjść na jaw?

- Musi - rzekł krótko. - Poniosę wszelkie koszty.

- A jeżeli prawda okaże się dla pana... nieprzyjemna?

Zacisnął mocno powieki, pokiwał się chwilę w wytwornym fotelu i odparł półgłosem:

- Tego nigdy nie można wykluczyć.

- Panie dyrektorze, nie chciałabym się znaleźć w niezręcznej sytuacji...

Potał ręką czoło, na serdecznym palcu lewej dłoni błysnął złoty sygnet.

- Zdaję sobie sprawę. Niemniej - powiedział, a w jego głosie usłyszałam jakiś nieprzyjemny fałsz - postanowiłem zaryzykować.

Nie chciałam się w to wszystko za bardzo angażować, chociaż z drugiej strony zaciekawiła mnie ta historia.

- Dobrze - skinęłam głową - porozmawiam z tymi paniami. Jeżeli wpadnę na jakiś ciekawy trop...

- Oczywiście - zamrugał gwałtownie to lewym okiem, to prawym, jakby mimowolnie dawał mi porozumiewawcze znaki - pojmuję pani, że wszystko musi pozostać w tajemnicy. Zapłacę z mojej prywatnej kieszeni i zarezerwuję pokój na mój koszt w hotelu „Faktoria”. To samo centrum Łodzi, przy okazji zwiedzi pani miasto. I jeszcze raz proszę panią o jak najdalej posuniętą dyskrecję.

- Panie dyrektorze...

- W moim banku nikt nie może się dowiedzieć, że byłem kiedyś uwikłany w cokolwiek niezgodnego z prawem. Nawet jeśli było to tylko pomówienie. Proszę pani, nie możemy dopuścić do naruszenia naszej reputacji. Od razu brukowce miałyby na nas używanie.

3.

Adres w Skamielinie pod Łodzią, Polna 26, na szczęście okazał się aktualny. Dość duży, zaniedbany parterowy dom, z którego ścian kruszył się tynk, a z dachu osuwały dachówki, nie zachęcał do składania wizyt. Jak mogłam przekonać się po wewnętrznych przegrodzeniach, połowa domu od ulicy została sprzedana.

Do części od strony zaniedbanego ogrodu, oddzielonej siatką porośniętą dzikim winem, prowadziła furтка z białą, emaliowaną tabliczką „Brzescy” i niespotykanym już mechanicznym dzwonkiem.

Pociągnęłam za drewnianą rączkę, usłyszałam wysoko brzmiący, metaliczny dźwięk w głębi domu, ale nikt się nie pojawił. Odczekałam chwilę, nacisnęłam metalową klamkę i weszłam do zachwaszczonego ogrodu.

Nad przerośniętymi krzewami porzeczek pochylały się zdziczałe jabłonie i grusze, a przez wybujale łodygi nawłoci przebijały się pojedyncze głowy amarantowych róż.

Na ganku obrośniętym bluszczem stała stara kobieta otulona czarną, koronkową chustą. Spojrzała na mnie z niechęcią, a kiedy powiedziałam, kim jestem i w jakiej sprawie przychodzę, wskazała mi wychudłą dłonią wejście.

Niewielki, ciemny przedpokój pachniał kurzem i myszami.

- Po tylu latach Rudolf nareszcie się zdecydował... - rzekła zdławionym głosem, otwierając drzwi do pokoju.

Graciarnia - to jedyne słowo jakie od razu przyszło mi na myśl. Sterty książek, gazet, tekturowych opakowań, starych czasopism, szczapy drewna powiązane w pęczki powróstem,

bryły węgla w skrzynce... Jednak wysoki kaflowy piec z żeliwnymi drzwiczkami stał zimny i ciemny.

Matowe światło z na wpół przesłoniętych okien kładło się jasną plamą na owalnym stole o nogach zakończonych lwimi łapami. Pośrodku poprzepalanego żelazkiem drewnianego blatu królowała lampa naftowa, opatrzona szerokim, ciemnozielonym kloszem. Dwa pluszowe, wytarte fotele, zarwana kanapa z wysokim oparciem i sfatygowane krzeselko dopełniały obrazu tego ponurego pomieszczenia.

Brygida Brzeska usiadła przy stole, opuściła chustę na ramiona, a wtedy jej mlecznobiałe włosy osunęły się na szyję, tworząc wokół twarzy półprzeźroczystą aureolę.

- Długo czekałam na tę chwilę - powiedziała, patrząc na wiszące na ścianie w złotych ramach retuszowane zdjęcie chłopca w stroju do komunii. - Czy to znaczy, że Rudolf uznał wreszcie swego ojca winnym śmierci mojego jedyne dziecko?

Zakasałam, usiadłam we wskazanym przez nią krzywym fotelu i rzekłam z największą wyrozumiałością, na jaką mogłam się zdobyć:

- Proszę pani, panu dyrektorowi Kornatowiczowi chodzi właśnie o wyjaśnienie tego tragicznego incydentu.

- On to nazywa incydem? - mruknęła pogardliwie. - Przecież to było zwyczajne morderstwo. Jak można...

Skłoniła głowę, zacisnęła pomarszczone dłonie i rzekła cicho:

- Mój dwudziestoletni Leszek został zastrzelony. I proszę mi wierzyć: im nigdy nie chodziło o jakiekolwiek wyjaśnienie. Zaraz potem wyjechali z tego domu.

- Kto? - spytałam z zaciekawieniem.

Brygida Brzeska popatrzyła na mnie z wyraźną dezaprobatą.

- Eliza ze swoim synem, Rudolfem. A potem sprzedali tamtą część domu. Mój mąż umarł w siedemdziesiątym